Nie pamiętam dokładnie, gdzie i kiedy poznaliśmy się...
Fakt ten dziwnie umknął mej pamięci, zapewne była to jakaś zwykła, prozaiczna życiowa sytuacja, którą zapomina się po pięciu minutach. I pewnie tak też było... Może jakieś spotkanie towarzyskie w większym gronie, może gdzieś po drodze w nieskończonym kłębowisku ludzkich spraw wciągającym w swe wiry i wypluwającym po chwili. Czasem wydawało mi się, jakbyśmy się znali od zawsze, losy nasze dziwnym trafem splatały się, rozchodziły, to znów stykały ze sobą, by po czasie jakimś na nowo ruszyć w diametralnie różnych kierunkach.
Tak!
Absolutnie różnych, jak absolutnie odmienni byliśmy, krańcowo inni i niepodobni, będąc jaskrawą antytezą i dalekimi, przeciwległymi biegunami... Jak noc i dzień...
Nie znosiłem go od pierwszego wejrzenia.
Nazywał się Wróbel.
Był o wiele wyższy ode mnie, co już mnie drażniło, ponadto suchy i chudy, jak gigantyczny pająk o długich, cherlawych odnóżach, z dużą głową pokrytą bujną gęstwiną blond włosów. Miał brzydką ptasią twarz, na której wiecznie gościł czerstwy, wiejski rumieniec, i wąskie, zacięte usta, ukształtowane w głupawo-ironiczny uśmieszek. Ten nigdy nieznikający uśmieszek, doprowadzający mnie do białej gorączki, napawał nieopisanym wstrętem i pogardą, dawał wiecznie do myślenia, że to jakiś przewrotny sposób okazywania mi swej wyższości.

A CZŁOWIEK BYŁ TO ZŁOŚLIWY.

Zapalczywie atakował wszystko, co ja popierałem i w co szczerze wierzyłem, moje spojrzenie na świat, poglądy upodobania i pasje... Usiłował mi bezskutecznie udowadniać swe jedynie słuszne racje, ich wielkość i nieomylność, spychając mój sposób myślenia i odczuwania na z góry fałszywy, mylny tor, okazując przy tym całą ku nim płynącą niekrytą niechęć i ignorancję. Odczuwał przy tym jakąś szczególną rozkosz i satysfakcję, widząc, jak się miotam i wściekam, wybucham i grzmię, kwitując to swym idiotycznym uśmieszkiem i ironicznym spojrzeniem pełnym dziwacznego politowania i współczucia mówiącego mi, że okazuję jedynie wiecznie swą słabość. Im głośniej krzyczę, tym bardziej to udowadniam. Ja byłem cholerykiem, Wróbel wiecznie zadowolonym z siebie flegmatykiem, któremu nawet trzęsienie ziemi nie popsułoby nastroju, ja reagowałem żywo i impulsywnie, on swym powolnym głosem zbijał każdy mój argument tak, aby rozwścieczyć mnie jeszcze bardziej i zasiać we mnie poczucie niemocy i rezygnacji, pewnego zażenowania własnym światopoglądem, śmiesznym i niedorzecznym. Jego spokój i opanowanie doprowadzało mnie do furii, bo tym dawał mi do zrozumienia, że błądzę po omacku drogami donikąd, w ciemnościach poznania, negując uparcie to, co jest oczywiste i bezdyskusyjne. On to wie, więc czemu ja złośliwie odrzucam prawdę? Przecież to widać jak na dłoni, kto tu ma rację. Krzywiąc się drwiąco, rzucał mi mimochodem, półgębkiem swoje wielkie myśli i teorie, niczym jakiś ochłap w odruchu litości przeznaczony dla umysłów niskopiennych, których mroki należy rozjaśniać nawet wbrew ich woli.
I TEN GŁUPAWY UŚMIESZEK...
Nieruchome oczy patrzące spoza grubych, ohydnych okularów świdrowały mnie przenikliwie w poczuciu wyższości, a na złośliwej twarzy drgał wciąż ten sam niby-grymas niczym nieuzasadnionego samozadowolenia.

WSTRĘTNY CZŁOWIEK!

***

Przy każdej nadarzającej się okazji starał się okazywać mi mą małość i omylność, sam zaś błyszczał niczym świątynia mądrości, pełen złotych prawd, nieomylnych wskazówek, bezcennych postulatów, człowiek oświecony, na każde pytanie znający tę jedyną, dobrą odpowiedź. Udowadniał mi niejednokrotnie, racząc mnie swą paskudną fizjonomią, że jestem już jedyny, już tylko ja pozostałem w swej niewiedzy i błędzie, wszyscy już dawno pojęli, zrozumieli, ocknęli się i teraz śmieją się ze mnie. Potrafił perfidnie zaszczepiać we mnie poczucie winy, inności i odmienności, bym w końcu pojął, że ogół myśli tak, jak on, a ja trwam przy swych mrzonkach, LUDZIE TO WIĘKSZOŚĆ, więc ma rację. Czas zatem skończyć z tym, czego nikt nie popiera i nie akceptuje. Doskonale wiedział, jak doprowadzać mnie do pasji i grać na mych czułych strunach, ot choćby mówieniem w imieniu „ogółu", jakim prawem? W imieniu, kogo? KOGO, powtarzam?! Kto podzielałby jego niedorzeczne, niechętne wszelkim racjonalnym przesłankom poglądy? Jakieś dziwolągi myślowe?

Cechował go skrajny, oderwany zupełnie od rzeczywistości indywidualizm, którego zaciekle bronił, wykluczając jakąkolwiek opozycję. Wróbel żył „sprawami ducha", jak to dumnie mawiał, wygłaszając arbitralnie swe dziwaczne poglądy, „a ziemia to tylko dodatek", coś przypominającego zaspokajanie najprostszych fizjologicznych potrzeb, warunek go kontynuowania egzystencji, a nie cel, do którego jednostki wyżej rozwinięte powinny zdążać. Te zawsze pojmą jego trafne spojrzenie... To tak zwani „artyści", nie zaś przyziemni, matematycznie wymierni i wyliczalni zjadacze chleba, pospólstwo, ofiary tzw. „pracy", niewolnicy biur, fabryk i urzędów, których życie szaro i nędznie przeminie w wyżej wymienionych miejscach na służeniu swemu Panu za pieniądze. To artyści jedynie mogą poczuć, jak smakuje życie i czym naprawdę jest budzenie się rano wolnym człowiekiem.
Być sobie panem, sterem, okrętem i żeglarzem, który jako jednostka wolna i niezależna powinien sam kierować swym losem, panować nad swym życiem, a nie dać się bezwolnie nieść prądom egzystencji, wyrzekając się walki o swą godność i pokusy kreowania rzeczywistości na swoją modłę.
Moje stanowisko było nieprzyzwoicie „zdrowe".
Praktyczne, pragmatyczne, do obrzydliwości normalne, zawsze pełne szacunku dla pracy, jako daru, a nie przekleństwa, zatem wokół tych kwestii obracał się nasz antagonizm.
— Gdybyś miał wystarczająco dużo pieniędzy, nie pracowałbyś... — mawiał apodyktycznym tonem. — Wtedy mógłbyś zająć się czymś innym, niż tylko materią... Może zostałbyś artystą?
— Musiałbym coś robić, zwariowałbym bez tego, a sztuka jest mi tak daleka, jak podróż do gwiazd... – odpowiadałem.
— Jesteś naprawdę biednym człowiekiem i pewnie nigdy nie odkryjesz istoty swego człowieczeństwa... Przypominasz mi konia z klapkami na oczach… — zawsze okazywał mi sztywny opór, chcąc wywołać namiętną reakcję z mej strony za wszelką cenę.
Bywały chwile, gdy wychwalałem cały urok życia widziany moimi oczami, radość, jaką dawała mi praca i samospełnienie się w niej, wówczas słyszałem cyniczne słowa, usiłujące udowodnić mi bezpodstawność mego zadowolenia, brutalnie szydząco-kpiące z mego punktu widzenia jako „fabryczno-mechanicznego", jak zwykł mawiać w chwilach samouwielbienia. Ilekroć byłem czymś wybitnie poruszony lub zachwycony, przypatrywał mi się, bębniąc długimi palcami po blacie stołu i głupkowato uśmiechał się w tonie politowania, aby natychmiast zaatakować mnie i wykazać wyższość swych racji... Jeśli ja wybierałem czarne, Wróbel natychmiast białe, gdybym nagle opowiedział się za karą śmierci, on byłby za jej zniesieniem; to, co wydawało się dla mnie wielkie i szczytne, on oceniał jako nędzną tandetę... Kiedy skrajnie wściekły i rozjuszony przestawałem się odzywać, a to oznaczało u mnie stan przed wybuchowy,

on wówczas złośliwie pogwizdywał lub, co gorsza, grał...
NA TRĄBCE... Niestety! Na trąbce... Nigdy nie cierpiałem wszelkich trąb, trąbek, trąbeczek, a zwłaszcza tuż nad uchem w chwili rozdrażnienia. Wróbel był artystą, grał na trąbce, nawet nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi, gdzie w ten dziwaczny sposób odnalazł swe przeznaczenie, co dla mnie, realisty, było nie do przyjęcia...

ŻYĆ Z DMUCHANIA W JAKIŚ KAWAŁEK RURY?!

Co za przykry układ...
To żenujące i wprost niepojęte!
On otwarcie ignorował wszelką naukę, wiedzę i ścisłość umysłu, widząc w tym truciznę dla prawdziwej artystycznej duszy człowieka wolnego, nie uznawał też wszelkiej „stadności", tzn. działania zespołowego, jego zdanie na ten temat było niezmienne — tylko indywidualizm, parcie do przodu w pojedynkę i samowystarczalność dawała mu pełnię swobody i wolności; to, czego ja, jego zdaniem, nie miałem... Nie cierpiał organicznie tego, co „społeczne" i „grupowe", nazywając to w swoim metajęzyku — oddolnymi wyziewami pseudo przyjaźni w pseudo atmosferze pseudo współpracy. Znów była sposobność, by okazywać mi mą nikczemną małość człowieka stadnego, zespołowego, podczas, gdy on — Wróbel, znacznie wyżej szybował, wyższe miał loty, nie brudził rąk nic nieznaczącymi znajomościami i zawodowymi przyjaźniami.
On żył sztuką, gdzie każdy jest indywidualistą, choć bywa, że gra się w zespole, lecz nawet wtedy jest to „wielość w jedności".
Wielokrotnie zmęczony jego wątpliwym i męczącym towarzystwem unikałem go, bądź to na ulicy odwracając się i przyspieszając kroku, bądź nie otwierając mu drzwi, gdy przychodził mnie odwiedzić. Było to konieczne dla mej równowagi nerwowej, musiałem odetchnąć i odnaleźć w sobie ogromne pokłady spokoju i wyciszenia, bowiem człowiek ten bawił się z premedytacją mą wściekłością i skłonnością do łatwej irytacji, zachowując przy tym drwiąco-ironiczny uśmieszek. Żadne awantury i wybuchy z mojej strony, prawie wręcz szału, nie robiły na nim wielkiego wrażenia, spływały obojętnie niczym krople wody po dachu... Im bardziej popadałem w furię, tym bardziej Wróbel tryumfował, gwiżdżąc sobie pod nosem lub puszczając kółka z dymu tytoniowego.

NAWET TO! WIEDZIAŁ, ŻE NIE ZNOSZĘ PAPIEROSÓW!
LECZ O TO CHODZIŁO, O TO, ŻEBY JE PALIĆ!

I gdybym nagle ja zaczął palić, on natychmiast porzuciłby swój śmierdzący nałóg!
Najgorsze wydawało się to, iż mieszkaliśmy w jednej kamienicy, on piętro wyżej, ja pod nim i ta niepokojąca bliskość sprawiała, że wzajemne spotkania stawały się nieuniknione. Mieliśmy ponadto wspólnych znajomych, co znacznie pogarszało sprawę, doprowadzając często do nieplanowanych awantur przy świadkach i niepotrzebnego wstydu, mojego oczywiście, gdyż Wróblowi to uczucie było absolutnie obce; nawet pod obstrzałem zażenowanych, pełnych niesmaku spojrzeń, on w milczeniu palił papierosa i uśmiechem porażał otoczenie. Często to ja wychodziłem na furiata, zbyt łatwo dającego upust impulsom i wybuchom, podczas, gdy on zachowywał żelazny spokój i złośliwymi dowcipami puentował całe zajście na moją niekorzyść. Jego zachowanie niejednokrotnie zmuszało mnie do użycia słów przykrych, wręcz obraźliwych, lecz ku mej rozpaczy mogłem znieważać go do woli i nie przebierać w słowach. Wróbel przyglądał mi się tylko przez swe grube szkła i beznamiętnie radując się w duchu z mej bezradności, zbywał wszystko swym drwiącym uśmieszkiem. To, co powiedziałem, kwitował dowcipną, pełną uszczypliwości uwagą, jaką się często czyni w stosunku do tych, którzy nie bardzo wiedzą, co mówią, lub mają problemy z myśleniem. NIJAK NIE DAŁO SIĘ GO OBRAZIĆ! Celowo podjąłem

nawet próby definitywnego zrażenia go do siebie, lecz bez skutku. TO BYŁO NIEMOŻLIWE!
Był głuchy jak pień na najcięższe słowa, które w mig trafiały w próżnię, będąc za chwilę obiektem jego kpin i żartów, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Wtedy brał swoją trąbkę i zaczynał GRAĆ! Grał jakieś stare standardy, nie zwracając na mnie uwagi, jakbym był powietrzem, pochłonięty bez reszty muzyką, nieobecny, daleki. Nigdy się z nią nie rozstawał, wszędzie, gdzie chodził, zawsze zabierał ze sobą trąbkę — z dziwactwa, lub może by podkreślić swój status artysty, nie wiem. Bywało, że gdy go niejednokrotnie nie wpuściłem do mieszkania, nie mając danego dnia najmniejszej ochoty na polemiki, Wróbel grał mi na złość godzinami, wiedząc, że słyszę wszystko przez sufit i nie mogę się na niczym skupić. I nie wytrzymywałem nerwowo, szedłem na górę, robiąc mu piekielną awanturę, wyzywając go od ostatnich, rzucałem o ścianę szklankami, tłukłem mu talerze, przewracałem meble, a moja wściekłość wprawiała go... w coraz lepszy humor! Jakby karmił się nią i potrzebował do normalnego funkcjonowania, musiał nieustannie prowokować mnie, bawiąc się moją bezsilnością. Momentami cała ta głupio-śmieszna historia wydawała mi się jakaś nierzeczywista, przyśniona i zbyt absurdalna, by dziać się naprawdę, lecz niestety.
Nie było na to rady.
Życie często nas stykało ze sobą, chwilami przypadkowo, gdzieś na mieście, czasami na schodach, a czasem, gdy opadły nieco, nerwy spotykaliśmy się, sam nie wiem, po co... Lecz z biegiem czasu moja wściekłość względem niego i wszystkiego, co się z nim wiązało, pchnęła mnie w końcu ku czemuś szalonemu i nieobliczalnemu... Byłem wówczas już u kresu wytrzymałości, bliski obłędu, chory z bezsilności i zrozpaczony, że nie mam żadnego wpływu na tego ohydnego człowieka... I wtedy...
On jakby coś wyczuł, coś dostrzegł we mnie, drgały dziwnie jego wąskie, wstrętne usta, a w oku błysnęło się przewrotnie... Chyba poczuł, że słabnę w mym oporze i wypaliła się już we mnie cała złość i furia, więc nieoczekiwanie zaatakował w inny, zupełnie nowy sposób... A mianowicie! Wyzwał mnie od tchórzy i słabeuszy, którzy boją się podjąć jakiekolwiek większe ryzyko życiowe, chowając się za plecami innych, mocni w gębie, lecz podszyci strachem i niezdolni do żadnego szaleństwa.

PO RAZ PIERWSZY... ON MNIE WYZWAŁ.

Spokojnie, zimno, bez emocji, jakby stwierdzał ogólnie wiadomy fakt, coś ewidentnego, jak słońce na niebie, nie denerwując się wcale, uśmiechając złośliwie, przyglądając badawczo spoza grubych szkieł... To przecież oczywiste, że muszę być tchórzem, „wszyscy" to widzą i wiedzą, a on w ich imieniu nazwał rzeczy takimi, jakimi są! Zawsze nim byłem i pozostanę do końca mych dni! Sprytnie i podstępnie przeszedł do poważnych wywodów na temat życia i śmierci, i całego mego tchórzostwa względem jednego i drugiego, udowadniając mi, że całe moje człowieczeństwo to oszustwo, mydlenie oczu i granie kogoś, kim nie jestem, bo w duchu zazdroszczę jemu — Wróblowi, wszystkiego, a przede wszystkim odwagi życiowej, chodzenia z podniesioną głową i niekłaniania się nikomu. Bo, ja — tchórz, byłem tylko nędznym trybikiem w wielkiej „przemysłowo-fabrycznej" machinie, jak to ujął, nigdy nie zdobędę się na najmniejszy choćby akt odwagi, na szaloną wolność wyboru, na spacer po cienkim lodzie...
I tymi ostatnimi słowami sam nieopatrznie podsunął mi POMYSŁ…
Gdy zaczął grać na swojej przeklętej trąbce, w mojej rozwścieczonej wyobraźni już coś się kształtowało, coś układało w konkretne kontury, materializowało w idealny kontratak, w cios, jakiego się nie spodziewał, nawet w najśmielszych snach! Wśród dźwięków trąbki w mej głowie powstał szalony plan, pierwszy szalony zryw całego mojego życia... Jeszcze tylko chwila, krótka myśl przebiegła przez mózg... Ja już miałem wszystko przygotowane! Tak, w całości!!! Bowiem, co tu dużo mówić — obraził mnie i znieważył do żywego, dotkliwie, nędznie, niesłusznie! Człowiek tak małego, niskiego formatu, niebieski ptak, balansujący na peryferiach życia, gdzieś na jego obrzeżach, artysta... ha ha ha, kto?! Nędznik!!!
Złośliwa kreatura bawiąca się moimi nerwami, które przez niego miałem w strzępach, bufon, zgrywający

się na wszechwiedzącego i wszechmogącego, snob „prawdziwego człowieczeństwa", a nie marnych namiastek...
„Głowę noszę zawsze wysoko" — a to mi dowcip! Pierwszorzędny! Tak! Nawet nie wiedział jeszcze, że właśnie skończyła się moja cierpliwość i wytrzymałość, a tchórzem nigdy nie byłem, o nie! To absurd! Może w jego złośliwej, wypaczonej wyobraźni, pustej, wielkiej głowie, w której hulał tylko wiatr. Tak, nie wiedział też, że to właśnie o GŁOWĘ teraz będzie chodziło. Jego lub...moją! Sam się o to prosił! Sam tego chciał.
Nadszedł czas istotnych rozstrzygnięć, decydujących posunięć.

***

Odczekałem kilka dni, by pomysł okrzepł we mnie, i przy pierwszej nadarzającej się okazji zaprosiłem go do siebie na rozmowę. Jak zwykle odpowiedział uśmieszkiem. Nie spodziewał się niczego specjalnego z mojej strony, aż tak specjalnego, jak to, co miał za chwilę usłyszeć... Gdy usiadł w fotelu ściskając swą trąbkę, przemówiłem:
— Nazwałeś mnie tchórzem, nie powinieneś był tego robić, popełniłeś poważny błąd. Poważniejszy, niż myślisz.
— Jeśli ja jestem głupcem, to ty jesteś tchórzem — stwierdził beznamiętnie Wróbel, przecierając okulary — ale żeśmy się dobrali, co?! Nie denerwuj się tak, bo w twoim wieku zawał serca to częsty, że tak powiem, „skutek uboczny"... I co wtedy będzie?
— Koniec żartów, miernoto życiowa, już dłużej nie pozwolę ci na tę podłą gierkę! Teraz okaże się, czy jesteś taki nieomylny i los ci sprzyja.
— Może jaśniej, bo nic nie rozumiem...
— To posłuchaj uważnie! Obaj dotkniemy szaleństwa, lecz tylko jednemu uda się przeżyć... To będzie próba odwagi i spojrzenia śmierci w oczy. Tak bardzo ją lekceważyłeś, pamiętasz? Tak bardzo była dla ciebie niczym przy twojej „odwadze", więc teraz będziesz miał szansę udowodnić swoje słowa... Życie nigdy nie pokaże, kto z nas ma rację, więc niech śmierć nas osądzi. ONA wskaże na tego, kto się mylił.
— Robi się interesująco... — znów głupawy uśmieszek zaigrał na jego twarzy, znów podły grymas...
— Masz dwa dni, podobnie, jak ja, na spisanie testamentu.
— Czego?! — Wróbel nieoczekiwanie ożywił się. — To jakaś forma żartu?
— Mam w domu rewolwer, tam w szafie, sześciostrzałowy. Zagramy w rosyjską ruletkę! Trzy próby, każdy z nas. Przed każdą próbą kręcimy bębenkiem, w którym jest tylko jedna kula. Gdyby zdarzyło się, że obaj przeżyjemy, będzie to znak, że obaj mieliśmy rację i zakończymy raz na zawsze naszą znajomość... Nigdy już nie wolno nam będzie odezwać się do siebie, choćby słowem! Każdy spisze testament i napisze w nim, że ginie z własnej woli, zwykłe samobójstwo, rozumiesz? I zabierze go ze sobą. W nocy pojedziemy do pewnego opuszczonego parku i tam się okaże, komu dopisze szczęście... Jeśli teraz powiesz „nie" — to ty okażesz się zwykłym tchórzem, a to, co dotąd mówiłeś, stekiem bzdur. Czy jesteś gotów na TEN rodzaj odwagi?
— Tak — odparł spokojnie Wróbel, lecz z twarzy zniknął nagle ów drwiący uśmieszek, a w oku dostrzegłem dziwny błysk. — Umowa stoi.
I wtedy po raz pierwszy w życiu, i ostatni podaliśmy sobie ręce...
— Czekam na ciebie za trzy dni. O północy — tu podałem mu, gdzie znajduje się park, miejsce spotkania. — Mam nadzieję, że nie stchórzysz — dodałem i podniosłem się, aby otworzyć mu drzwi i wypuścić go z mieszkania.
— Bądź pewien, że przyjdę... — rzekł prawie szeptem i z trąbką w ręku odszedł w milczeniu do siebie.

Ostatecznie byłem zadowolony, że sprawa wzięła taki obrót, nie mogłem dłużej znosić tego człowieka i własnej bezsilności, poza tym była to już sprawa „honoru", zostałem przecież znieważony, a takich spraw nie załatwia się słowem.
Wróbel doprowadził mnie do aktu desperacji, chęci ostatecznego rozwiązania, gdzie i moje życie było przecież zagrożone, kładłem je dobrowolnie na szalę tej śmiertelnej wagi, nie znając przyszłego werdyktu... Może byłem wówczas szalony, a może tak zdesperowany, by pozbyć się w końcu znienawidzonego natręta, że zaryzykowałem wszystko, stawiając mój los na jedną, nieznaną mi kartę... Musiało być w tym wiele szaleństwa, gdyż nie odczuwałem wcale uczucia strachu, lęku przed śmiercią czy przerażenia... Nie wiem właściwie, czemu tak było. I nie martwiło mnie to bynajmniej.
Czekałem niecierpliwie na ostateczne rozstrzygnięcie...
Spokojnie spisałem mój testament i notatkę, że odchodzę, bo taka jest ma wola. Sprawdziłem rewolwer. Był sprawny, jak przystało na angielski wyrób, działał niezawodnie, tu nie powinno być niespodzianki. Nie zawiedzie! — pomyślałem. Nie tym razem.
Trzymałem długo rewolwer w dłoni; kręcąc bębenkiem, wkładałem nabój do każdej komory, odbezpieczałem, to znów wyjmowałem nabój, patrzyłem z podziwem na błyszczącą stal.
NADSZEDŁ TWÓJ CZAS...

***

Przez kolejne dwa dni panował względny spokój w moim życiu i, co najważniejsze, ani razu nie natknąłem się na Wróbla.
Zamilkł...
Zniknął...
Rozpłynął się...
Lecz nie!
Jak mogłem tak sądzić?
Po tym wszystkim?
Gdy nadszedł dzień naszego nocnego spotkania, późnym popołudniem usłyszałem jakże znajomy dźwięk, natrętny dźwięk trąbki, dochodził z mieszkania nade mną.

ON GRAŁ...

Grał, jakby nigdy nic, choć za parę godzin...
Nie dbał o to, co się stanie, co przyniesie noc.
TEN CZŁOWIEK DO KOŃCA GRAŁ NA TRĄBCE.
Rozsierdził mnie tym jeszcze bardziej, nawet teraz, gdy dzieliły nas już tylko godziny od zakończenia naszego odwiecznego antagonizmu. Może to ostatnie godziny...
Dziwny, ohydny człowiek.
Nawet w tej ostatniej minucie starał się zatruć mój spokój, bawiąc się złośliwie mym zdenerwowaniem i bezsilną złością, szydząc otwarcie z mojej osoby. Chodził sobie po pokoju i grał, igrając bezczelnie z tym, co go mogło spotkać za chwilę, śmiejąc się temu w nos, jawnie lekceważąc powagę chwili... Wiedział, że wszystko słyszę, i o to mu chodziło, o odebranie mi resztek równowagi ducha, o doprowadzenie mnie do wściekłości, której tak bardzo potrzebował, by żyć i czuć się dobrze... Teraz też chciał mieć tę świadomość satysfakcji, że mnie rozwścieczył, tam na dole, pogrążył w gniewie, wyśmiał... Zatryumfował! Gdy minęła wpół do dwunastej, sięgnąłem do szafy po rewolwer i wsadziwszy go do kieszeni płaszcza, opuściłem mieszkanie. Kiedy byłem już na schodach, szalona myśl zaświtała mi nagle w głowie... Postanowiłem nieco zmienić mój plan... Pospiesznie wszedłem z powrotem do środka i

wyjąłem coś małego z szafy. Tak! To, o to mi właśnie chodziło! Teraz mój plan był już dopięty na ostatni guzik... Teraz znałem już wynik nocnego spotkania!
Noc była zimna i ciemna, gdy szedłem pogrążoną w bezwzględnej martwocie ulicą. Mdło świeciły mijane latarnie, a unosząca się w powietrzu wilgoć potęgowała uczucie chłodu. Nie spotkałem ani jednego przechodnia, panowała cisza, przerywana szumiącymi nasennie drzewami. Wtedy odkryłem, że jestem już na miejscu. Nawet nie wiem, kiedy minął mi czas drogi, jakbym wyłączył się psychicznie i stracił świadomość tego, co robię, lecz ocknąłem się, widząc przed sobą park. Dotarłem do umówionego miejsca i rozejrzałem się — Wróbla jeszcze nie było.

Dochodziła powoli północ.

Więc jeszcze tylko krótka chwila i... dowiem się prawdy, wszystko stanie się jasne i oczywiste... Nie czułem nic tej nocy, to nie mnie należało obwiniać za to, do czego doprowadził ten wyrafinowany, przebiegły człowiek. Ja musiałem się tylko ratować, by nie popaść w obłęd. To ON rozpoczął to wszystko, nawet nie pamiętam, gdzie i jak, ale to z pewnością nie ja zainicjowałem nasz konflikt, na pewno nie ja... Gdyby nie jego antypatyczna osobowość i fizjonomia, moja własna ohydna antyteza, przeciwległy, zły biegun, odrobina kompromisu i skruchy mogłaby powstrzymać bieg wydarzeń, nie doprowadzając nas tej nocy w to decydujące miejsce... Ale każdy na moim miejscu, w podobnych okolicznościach doszedłby w końcu tam, gdzie ja doszedłem. Każdy, bez wyjątku.
Nagle spoza drzew wyłonił się Wróbel, dostrzegł mnie natychmiast i podszedł bliżej. W ręku trzymał trąbkę. Jego twarz nie wyrażała zupełnie nic, tylko ów wstrętny uśmieszek przywitał mnie, jak zwykle błąkając się po znienawidzonej twarzy.
— Zaczynamy? — zagadnął, jak gdyby prosił o kieliszek wina. — Kazałeś mi tak długo czekać — szepnął wstrętnym, słodziutko-przymilnym głosem. — Kto pierwszy?
— Rzucimy monetą. Orzeł czy reszka? Orzeł pierwszy...
— Orzeł — odparł dumnie Wróbel i w przypływie jakiegoś idiotycznego impulsu zamachał rękami w powietrzu. — Noś głowę wysoko — dodał bezczelnie, świdrując mnie swym obleśnym spojrzeniem.
— Głupi... Jak zawsze... — skwitowałem i wyjąłem monetę. Przez chwilę poczułem ją w zamkniętych dłoniach, by przybić ją w końcu, podając wynik...
— Orzeł ja, reszka ty — rzekłem.
Wyjąłem spokojnym ruchem rewolwer z kieszeni i pokazałem mu bębenek z jedną kulą. Zakręciłem nim i przyłożyłem pistolet do skroni... Pociągnąłem za spust... NIC! Po chwili kolejna próba, ruch bębenkiem i... znów suchy trzask uderzającego cyngla. Wówczas, zanim doszło do trzeciej próby, nagle dostrzegłem perfidny błysk jego oczu — kogoś, kto nadal czeka na widowisko, błysk pogardy i pychy, wstrętu i pewności, że ogląda się niskie, nędzne przedstawienie... Po raz trzeci przystawiłem pistolet do głowy i po chwili było już jasne, że nie będę to ja... Ręka bezwładnie opadła w dół...
Niema gra twarzy...
Pojedynek spojrzeń...
Cisza nocy...
Zauważam wówczas pewne poruszenie w zachowaniu Wróbla, nagle przepadł gdzieś w mroku głupawy uśmieszek! Do świadomości coś już dociera... TERAZ JEGO KOLEJ, TERAZ ON POCZUJE, CO TO IGRANIE Z PRZEZNACZENIEM! Nie wypuszczając swej trąbki z ręki, drugą bierze rewolwer i chwilę jakby się zastanawia. Odkłada trąbkę na trawę i kręci bębenkiem, długo, kpiąc sobie z powagi sytuacji, w końcu przystawia lufę do skroni i pociąga za spust. Tylko suchy trzask przerywa ciszę... Druga próba... To samo! Na twarzy wyrasta nagle tak znienawidzony, złośliwy grymas zaciętych, wąskich ust... Lecz dostrzegam kątem oka, że drżą jak w febrze, jakieś dreszcze przebiegają po twarzy, po skroni spływa wąska strużka potu... Zdejmuje okulary i chowa je do kieszeni, widzę wtedy jego obrzękłe, przekrwione

oczy... Oczy wbite gdzieś w pustą przestrzeń, już nie we mnie... Stojąc tam, w parku, w świetle świateł dochodzących słabo od strony ulicy, ujrzałem człowieka, który nagle zrozumiał, z czym się siłuje i na co podniósł rękę, człowieka, do którego chyba dotarło w końcu, jak daleko doprowadziła go jego droga, z której już nie było odwrotu, lecz czy dziś potwierdziłby swój wybór? Rzucił mi na koniec jakieś przykre, chaotyczne spojrzenie i przystawił rewolwer do głowy, pociągnął za spust.

ROZLEGŁ SIĘ GŁOŚNY HUK WYSTRZAŁU...

Wróbel odskoczył, gwałtownie odrzucony na bok, lecz nie upadł, zachwiał się niepewnie na nogach, chwycił stojącego obok drzewa... Gdzieś w gałęziach drzew rozbrzmiewały jeszcze echa wystrzału... Odrzucił pistolet na ziemię i w szale przerażenia począł dotykać niepewnymi dłońmi głowy, czoła, skroni. Padł na kolana i targał rozpaczliwie zmierzwioną gęstwinę swych włosów, nerwowe palce z niedowierzaniem obmacywały czaszkę...

Teraz widziałem, że się bał...

Pierwszy raz w życiu zobaczyłem lęk i strach w jego oczach, gdzieś nagle znikła pycha i wyższość, tu przy mnie zwijał się na ziemi człowiek do dziś butny i pyszny, nietykalny i nieomylny, opanowany i zimnokrwisty, okazujący mi w nieskończoność, jak nędzne i małe jest moje życie...

Zaśmiałem się, widząc, co wyprawia na mych oczach...

Był żałosny w swym fałszu i zakłamaniu, teraz kiedy stanął twarzą w twarz ze Śmiercią, którą tak pogardzał, kim był? Gdzie nagle znikło całe jego napuszenie, lekceważenie i pogarda? Kim był tu, gdzie nagle dotknął tego, z czego tak szydził?! Poczuł wyższość czegoś, przy czym okazał się po prostu nikim. Głupcem skończonym, durniem... Małym nędznym komediantem, który niszczył mój spokój i życie dla żartu, dla kpiny, dla satysfakcji, samookłamującym się hipokrytą czerpiącym siłę z czyjejś słabości, lecz gdy role się odwracają, wówczas uciekającym w panice, niczym nędzny tchórz... Skoczyłem wtedy do niego... Chwyciłem go za kołnierz, wyczułem, że cały drżał...

— Nabój był ślepy, głupcze! Dlatego żyjesz! Teraz ja zakpiłem z ciebie, żeby pokazać ci, jaki jesteś słaby. To nie ja byłem zawsze tchórzem! Jeden wystrzał pistoletu i gdzie podziała się twoja odwaga? PRECZ! — wrzasnąłem i cisnąłem nim o drzewo.

Wtedy po raz ostatni dane nam było spojrzeć sobie w oczy, rzucił mi spojrzenie nienawistne, mściwe, wstrętne, te oczy mówiły, że pożałuję, że nie ujdzie mi to płazem. Teraz on patrzył na mnie, jak dotąd ja na niego — wściekle i groźnie, zrozumiałem, że przez te wszystkie lata nienawidził mnie bardziej, niż mogłem przypuszczać, skrywając pod głupawym uśmieszkiem, żartem i pozornym spokojem swą chęć zniszczenia mnie i pogrzebania.

— Ty tchórzu... — wysapał i rzucił się biegiem samotną alejką parku, szaleńczo, na oślep, beznadziejnie...

Biegł, a ja patrzyłem, jak maleje w oddali jego postać i rozpływa się gdzieś w czerni nocnej, prawie już niewidoczna, nikła... W odruchu nienawiści rozgniotłem jego trąbkę butem i wyrzuciłem ze wstrętem do śmietnika. Ruszyłem parkową alejką przed siebie, szczęśliwy, że racja okazała się być po mojej stronie, demaskując nędznego mitomana, jaskrawie i bezwzględnie... Teraz odzyskam spokój i ciszę, elementy tak zapomniane, że strach pomyśleć, czym było dotąd moje życie, teraz je pozyskam, na nowo!

ZACZNĘ OD POCZĄTKU...

Gdy właśnie dochodziłem do miejsca, w którym park przechodził w chodnik biegnący wzdłuż ulicy, usłyszałem głośny klakson auta i głuchy chrzęst uderzenia, tępy, głuchy łomot i pisk hamulców. Intuicja szepnęła, by tam podbiec... Zobaczyłem w kałuży krwi zwłoki mężczyzny, leżące bezwładnie na chodniku, na twarzy malowało się martwe piętno śmierci. Wpadł pod samochód...

Wróbel nie ŻYŁ.

Jednak śmierć, z którą chciał tak bezmyślnie i niefrasobliwie zagrać, upomniała się o swe prawa i stanęła

mu na drodze w chwili, w której najmniej się tego spodziewał...
ŚMIERĆ NIE LUBI, JAK SIĘ Z NIEJ ŻARTUJE... Lekceważona i wykpiwana, położyła w końcu swój palec na bluźniących, drwiących ustach, by dać świadectwo, że nic nigdy nie dzieje się bez skutków, bezkarnie, bezsensownie, coś do czegoś prowadzi i wybierając drogę, należy pamiętać, jakie życzenie wypowiadamy... A rzucając wielkie słowa w przestrzeń pamiętajmy, czy jesteśmy w stanie je zrealizować...
BO PRZESTRZEŃ ŻYJE I PATRZY...

***

Śmierć Wróbla poruszyła jednak mną.
Zwłaszcza scena leżących bezwładnie, zakrwawionych zwłok prześladowała mnie jeszcze długo potem po nocach, nie dając spać aż do świtu, gdy jasny blask słońca rozjaśniał mroki nocy... Coś na zawsze pozostało, coś wryło się w pamięć duszy, by wracać przykrymi obrazami w chwilach refleksji, zastanowienia, zadumy...
Lecz czy tego nie chciałem?
Czy nie chciałem uwolnić się od tego ohydnego natręta, niszczącego me nerwy i równowagę psychiczną, zapuszczającego mi swój jad?
Doprowadzającego me życie po równi pochyłej wprost w krainę obłędu i szaleństwa?
Tak, na pewno tak, tego właśnie chciałem.
I teraz mogłem nareszcie odetchnąć, poczuć to zapomniane uczucie zwane wolnością, swobodą i spokojem, znów radosny wracać z pracy do domu, żyć wśród ludzi, których szanowałem i lubiłem, niedrażniony, poniżany i wyszydzany, cieszyć się prostymi rzeczami, jak poranna kawa czy grające radio... I móc spotkać się z tymi, z którymi miałem po drodze, z nimi rozmawiać i dzielić miłe chwile... Wiedziałem już, że to ja miałem rację, i to po mojej stronie opowiedziało się życie... On przegrał, choć tak bardzo chełpił się swymi prawdami i nieomylnością, spojrzeniem z góry na niżej stojących, byciem wybranym wśród szarego morza przeciętności. Chciał naginać rzeczywistość do swoich kaprysów, a to bezlitosna rzeczywistość stanęła na jego drodze, na owej feralnej, nocnej ulicy...

PRZEGRAŁ.

Odetchnąłem.
Znów wyłoniły się dawno niewidziane przyjemności — sport, spacery, jazda na rowerze. Odżyłem fizycznie i duchowo, angażując się w szereg nowych przedsięwzięć i sytuacji towarzyskich, nowych znajomości, by uniknąć dawnych twarzy, kojarzących mi się nieodparcie z Wróblem, starych miejsc, gdzie razem bywaliśmy... Stanowczo odciąłem się od mej przeszłości, aby już nigdy więcej nie zatruć spokoju mej duszy, by na nowo zaistnieć w oparciu o świeże, zdrowe podstawy... Teraz musiałem odnaleźć siebie i tę naturalną łagodność, jaka mnie zawsze cechowała, nie zaś wściekłość i furia, do jakiej doprowadzał mnie ten przeklęty człowiek. Z biegiem tygodni i miesięcy wydawało się, iż wróciłem do dawnej formy...
Gdy nagle... Było to jakiegoś ponurego grudniowego wieczora... Siedziałem i bawiłem się kartami tarota, które ktoś dał mi przypadkowo w prezencie; tasując je i rozkładając, zabijałem nudę zimowej godziny, gdy ni stąd ni zowąd usłyszałem... trąbkę... TAK! TRĄBKĘ! Gdzie?! Trudno rzec. Wszędzie i nigdzie! Po prostu grała, a ja ją słyszałem. Szukałem miejsca, z którego to dochodziło, lecz na próżno... Przez chwilę myślałem, że z mieszkania nade mną, jak dotąd, lecz przecież nie... Nieee... Jego już nie było... On nie mógłby grać! Więc kto? Dlaczego?! Ten sam dźwięk, te same na pamięć znane standardy... Kto mi to robił?! Kto złośliwie znów zaczął grać na trąbce?! Na tej przeklętej trąbce, którą tamtej nocy wyrzuciłem do śmietnika!!!

KTOŚ JEDNAK GRAŁ.

Często, o różnych porach dnia, kiedy popadałem w zadumę i refleksję, kiedy wyciszałem się w sobie, by uspokoić me nerwy, nagle rozbrzmiewał ten dźwięk trąbki.
Wypełniał ciszę i płynął znikąd, niczym fala porywająca ze sobą swym nastrojem i melancholią, jakimś nieuchwytnym żałosnym tonem, jednak kojącym i bardzo łagodnym, drgał w przestrzeni znaną mi muzyką, był i istniał... Gdy byłem czymś zajęty, zanurzony po uszy w wysiłku, coś kończyłem przyniesionego z pracy, jakieś dokumenty, wykresy, tabele — wtedy panowała grobowa cisza, że mogłem usłyszeć szum własnego mózgu, nie słychać było dziwnej muzyki, nikt nie grał... Lecz gdy wysiłek się kończył, znikąd nagle pojawiał się znany dźwięk trąbki, ten sam, bez wątpienia, by wypełnić sobą wszystko wokół, zawibrować subtelnie, zadrgać gdzieś obok, bardzo blisko, tuż, tuż, tuż... Lecz gdzie?! Skąd to dochodziło?!
Biegałem po klatce schodowej, przystawiając ucho do wszystkich drzwi po kolei, bacznie nasłuchując, wyłapując każdy choćby minimalny dźwięk, lecz nie udało mi się odnaleźć miejsca, z którego dobiegała ta dziwna muzyka. Długo stałem z przyciśniętym uchem przy JEGO drzwiach, lecz znów na próżno, i tym razem odpowiedziała głucha cisza, martwa i nieruchoma... Nasłuchiwałem, wychodząc na dwór, patrząc na okna w nadziei, iż może dostrzegę gdzieś tajemniczego muzyka... Kogoś, kto stanie w nich z trąbką i zagra, abym w końcu rozpoznał i uspokoił się. Tak, zaiste uspokoił, bo zaczynało mnie to już delikatnie denerwować! Denerwować nie na żarty! Czułem tu podświadomie jakąś złośliwość i granie mi na nerwach, drażnienie i przekomarzanie się ze mną... Muszę wiedzieć, kto to, wtedy zwrócę mu uwagę, grzecznie aczkolwiek stanowczo, że tu nie filharmonia, że ludzie potrzebują snu, ciszy, by pomyśleć choćby nad własnym życiem.

TRĄBKA GRAŁA JEDNAK NADAL...

Pewnego dnia wszystko stało się jasne, by nie powiedzieć głośne... W środku miasta, gdzieś na ulicy usłyszałem z zaskoczenia ów przeklęty instrument, tak, wśród tłumu ludzi był ktoś, kto grał... Skoczyłem bez namysłu, by się przekonać, lecz nie odkryłem nic, absolutnie nic; pomimo to trąbka grała gdzieś nadal, tuż obok mnie... Jakoś tak blisko... Dziwnie blisko... Rozejrzałem się i tym razem nic! Po prostu ktoś grał ze mną w ciuciubabkę! W ciuciubabkę na trąbce! Sytuacja nie była odosobniona, albowiem nazajutrz w pracy, gdy studiowałem istotne projekty mostów, gdzieś w chwili mego wytchnienia dobiegł mnie znajomy dźwięk. Aby nie spłoszyć grającego, udawałem, że nadal zawzięcie pracuję i koncentruję się na mych papierach, lecz badawczym okiem lustrowałem otoczenie w poszukiwaniu źródła muzyki.
I tym razem porażka...
Całkiem niedawno, gdy byłem na spacerze w ogrodzie botanicznym, wyciszony i wolny od trosk, krążąc zamyślony samotnymi alejkami i podziwiając cuda natury, usłyszałem znienacka znajomą, natrętną trąbkę... Przystanąłem, lecz wokół nie było żywego ducha, tylko ja sam! Z wrażenia usiadłem na ławce i wtedy usłyszałem ją jeszcze raz, lecz głośniej, donośniej, mocniej... Zrozumiałem, że gra... w mojej głowie... TAK! Właśnie tam! Weszła tam jakoś i zamieszkała, zagnieździła się, jak wstrętny pasożyt, jak jej ohydny właściciel... Teraz jest nie do zniesienia! Gra coraz głośniej i dłużej, w dzień i w nocy! Nie rozumiem, co ludzie do mnie mówią, co krzyczą, machają rękami, lecz ja nie słyszę! Patrzę tylko na ich usta, czytam z ruchu warg... W mojej głowie gra trąbka, która wrosła w mój biedny mózg... Może mój mózg to już trąbka i dlatego gra bez przerwy?! Dość mam tego trąbienia, boli mnie głowa, dusza, jestestwo! Nie jestem, lecz gram mą głową, mym mózgiem, mą trąbką!
TO KOSZMAR!
Teraz muszę znaleźć jakieś wyjście, jak najszybciej, by to ustało, by to uciszyć, raz na zawsze, definitywnie, kategorycznie, nieodwołalnie! Tak, tak!!! Jeśli strzelę w tę przeklętą trąbkę, to ucichnie na

wieki!!!
JEST RATUNEK, JEST... NADZIEJA!
Zaraz, tylko wyjmę mój rewolwer...

17 października 2007

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 26.05.2012 20:01

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.